

Zapłać albo ukarzymy Cię za P2P

1 kwietnia 2012

Wyłudzanie pieniędzy pod groźbą kary za naruszenie praw autorskich przybyło do Polski. Kancelarie prawne, bazując na strachu, liczą na wpłaty. Za podobne praktyki w Wielkiej Brytanii ukarano już szefa pewnej kancelarii. W Stanach sędziowie zaczynają odmawiać współpracy z prawnikami od P2P. W Polsce biznes dopiero się rodzi – policja i prokuratorzy współpracują chętnie.

„Dziennik Internautów” nieraz pisał o kancelariach prawnych, które wysyłają do internautów listy z propozycją nie do odrzucenia – wpłać pewną kwotę na nasze konto albo pozwiemy Cię za naruszenia praw autorskich. Większość osób boi się, więc płaci. Są wśród nich nawet takie osoby, które nie naruszały praw autorskich.

Ta technika wyłudzania pieniędzy (nazwijmy rzeczy po imieniu) dotarła już do Polski, o czym informuje „Gazeta Wyborcza” w tekście pt. „Kancelarie przeszukują sieć, by znaleźć piratów”. W tym tekście możemy poczytać o przypadkach różnych ludzi. Jednemu z nich policja zatrzymała sprzęt, polecając kontakt z kancelarią prawną. Inny otrzymał wezwanie do zapłaty i pozwolono mu nawet zapłacić w ratach, ale potem się rozmyślił. Ostatecznie otrzymał pismo od prokuratury, przesłuchano jego żonę...

Największym sukcesem policji było odebranie komputera niewidomej, która potrzebowała go do pracy. Osobie tej zarzucono pobranie utworu disco polo, ale ani ona, ani żadna z osób z nią mieszkających nie słucha takiej muzyki.

Warto zwrócić uwagę na dwie rzeczy.

Po pierwsze, nie bez powodu piszemy o wyłudzaniu pieniędzy,

bowiem tylko takie słowa pasują do praktyki stosowanej przez opisane w GW kancelarie prawne. Mówimy przecież od żądaniu pieniędzy od ludzi pod pewną groźbą i presją. Chodzi nie tylko o groźbę procesu, ale także o odbieranie sprzętu, przesłuchiwanie domowników, ogólne „robienie problemów”. Nawet jeśli ktoś nie naruszył prawa autorskiego, będzie chciał tego uniknąć. Na to liczą kancelarie, które pieniądze wezmą bez pytań o winę.

Czy organizacje przemysłu praw autorskich chcą powstrzymać piractwo? A może po prostu chcą zarobić? Jeśli tak, to robią to w sposób podobny do gangów zbierających haracze. Stosując różne formy presji, żądają od ludzi pieniędzy i odbywa się to przy współpracy z organami ścigania, a nie pod kontrolą sądu czy prokuratora.

Po drugie, tego typu praktyki były już kwestionowane w innych krajach. Zarabiający na podobnych wyłudzeniach Andrew Crossley (właściciel firmy ACS:Law) został już ukarany dyscyplinarnie i zawieszony na dwa lata. Również prawnicy z kancelarii Davenport Lyons zostali uznani winnymi wykroczeń zawodowych.

W Stanach Zjednoczonych sędziowie zaczęli się buntować, odmawiając m.in. realizowania masowych pozwów i stwierdzając, że sam adres IP nie jest wystarczającym dowodem naruszenia. Również w Europie (m.in. w UK i we Francji) sądy stwierdzały, że adres IP to za mało, aby uznać kogoś winnym naruszeń praw autorskich.

W Polsce problem pojawił się z pewnym opóźnieniem i razem z nim pojawiają się pytania: czy możemy liczyć na to, że nasze władze wykorzystają doświadczenia z innych krajów i zaczną rozliczać prawników z ich działań? Czy polskie sądy i prokuratorzy w porę zrozumieją, że adres IP naprawdę nie jest dowodem naruszenia praw autorskich?

Osobną sprawą jest porozumienie pomiędzy posiadaczami praw autorskich a telekomami, jakie powstało przy udziale

Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i do którego samo ministerstwo nie chce się teraz przyznać. Teraz wiadomo, po co posiadaczom praw autorskich ułatwiony dostęp do danych o abonentach usług telekomunikacyjnych. Dzięki temu można byłoby zastraszać więcej osób i częściej zbierać wpłaty, zanim ktoś się zorientuje, że to nie jest egzekwowanie prawa tylko masowy szantaż.

Opracowanie: Marcin Maj

Na podstawie: Gazeta Wyborcza

Źródło: [Dziennik Internautów](#)